№ 8.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1846. Poznań, dnia 20. Kwietnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedplata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Powieść o Jasiu
i o trzech osobliwych zwierzątkach
przez *L. S.*

(Dokończenie.)

Jasio od razu odgadł złą wiarę przyszłego swego teścia; ale rozkochany cokolwiek w królewnie, udawał, że się niezna na lisich fortelach. Zaraz tedy poszedł do swoich wiernych poradników, powiadając im o nowém żądaniu króla.

— Niech cię to niezastrasza — rzekł pająk — pójdziemy razem na tę wyprawę, i już wielkiego trzebaby nieszczęścia, żebyśmy niemieli dostać kołdry Jędzona.

Jasio nieodkładając téj rzeczy, puścił się do zamku Jędzona; głęboki rów przebył po moście, ale wszystkie bramy i fórtki zastał szczelnie pozamykane. Jędzon bojąc się jakiéj zdrady i szparki niezostawił, żeby nią nawet myszka niewbiegła.

— Nic to nieszkodzi — rzekł pająk — zaprowadź mię pod okno sypialnéj komnaty Jędzona.

Jasio zaprowadził go, i pokazał mu wąziutkie okienko otwarte na najwyższéj wieży. Pająk natychmiast zaczął się drapać po murze, i w mgnieniu oka dosięgnął okna, a usiadłszy na niém, wysnuł tak długą nić, że aż do ziemi sięgała. Jasio trzy razy opasał się tą nicią, przez co utracił zwyczajną swoją ciężkość, a tymczasem pająk, bez wszelkiéj trudności ciągnął go na wieżę. Dostawszy się do okna, wlazł do sypialni i schował się pod łóżko, gdzie w milczeniu rozmyślał o sposobie dostania kołdry.

Właśnie tego wieczora Jędzon i żona jego, srogi mieli apetyt i zjedli byli we dwójkę ogromną missę bigosu, kilka łokci kiełbasy, i tuczonego kapłona; z tego powodu wcześniéj niż zwykle poszli do łóżka, gdzie ledwo głowę przytuliwszy do poduszki posnęli jak zabici, chrapiąc i sapiąc że się aż szyby trzęsły. Jaś słysząc chrapiących, cichaczem wyściubił głowę i rękę, bardzo lekko i powoli ciągnąc do siebie kołdrę. Może już był z połowę przyciągnął, gdy się zbudziła Jędza i rzekła mrucząc na męża: moja duszko! co tobie takiego że ze mnie kołdrę ściągasz? Zmarzłam jak lód; kontentujmyż się każde swoją połową — i to mówiąc, poprawiła kołdrę i zasnęła w najlepsze.

Jaś niewidząc innego sposobu, zaczął ciągnąć po drugiéj stronie, to jest po stronie jéjmości; bowiem jegomość twardszym snem uśpiony, nie tak trudném czynił przedsięwzięcie. Otóż kiedy kołdrę na sam brzeg ściągnął, szarpnął nagle, aż spadła na podłogę i narobiwszy szelestu zbudziła Jędzona: do stu katów — krzyknął — a gdzie nasza kołdra? — I macając długiémi rękami w koło siebie, trafił przypadkiem na czapkę Jasiową; zdarł mu z głowy, i ryknął przeraźliwym głosem: złodziéj! złodziéj! łapajcie! łapajcie! — Jędza zbudziła się na ten hałas i pomagając swemu mężowi, narobili tyle wrzawy co żydzi w sądny dzień. Tymczasem Jasio trzymając kołdrę pod pachą, skoczył do okna, gdzie uchwyciwszy się pajęczéj nici, lekuchno spuścił się na dół.

Po tak szczęśliwie odbytéj wyprawie, dworscy zazdrośnicy sadzili się na pochwały i panegiryki wynosząc przed publicznością heroizm Jasia; wystawili nawet bramę tryumfalną z jego cyfrą, a pokryjomu szyli

mu bóty przed królem, mówiąc: Najjaśniejszy panie, nieprzestawaj na tém; trzeba kuć żelazo póki gorące, i za pomocą przyszłego zięcia, zniszczyć waszego nieprzyjaciela. Trzeba iżbyście żądali po Jasiu, aby wam zdobył zamek Jędzona. Przecież on wszystko może. Teraz najlepsza pora, bo skoro waszym zięciem zostanie, nie będzie mu się chciało narażać na niebezpieczeństwa. —

Potrzeba oddać słuszność temu królowi, iż mu wstyd było tak ciągle uwodzić Jasia; przeto niechciał na to przystać, ale gdy dworacy cudnémi barwy zaczęli malować zamek Jędzona, gdzie miało się znajdować tyle pokoi ile dni w roku, a tyle okien ile godzin; a przytém wspaniałe sprzęty, zbrojownie, skarbce, piwnice — takiéj ślinki napędzili królowi, iż gwałtem zapragnął zostać panem owego zamku. Gdy życzenie swoje objawił Jasiowi, tenże odpowiedział zwyczajnym sposobem: Jeźli taka wola wasza, postaramy się; — i poszedł do swoich poradników. Poradnicy powiedzieli mu: Przedsięwzięcie to niebardzo jest bezpieczne; jednak bądź co bądź musisz wygrać, i tych wiarołomnych ludzi rozumu nauczyć. Na ten cel, chrabąszcz dał mu długi nóż kucharski, świerszcz biały fartuch, a pająk szlafmycę.

Jasio z szlafmycą na głowie, przepasany fartuchem, i z nożem u pasa wystrychnął się na kuchmistrza i w takim stroju puścił się do zamku Jędzona.

Potrzeba wiedzieć, że Jędza niedawno była powiła synka, a męża niebyło w domu, ponieważ wyjechał spraszać familię na obchód urodzin swego infanta. Jasio przybywszy do zamku, zastał panią, która trzymając skrwawiony nóż w ręku tylko co sprawiła dwuletnie dziecko; należy bowiem przypomnieć, że państwo Jędzonostwo za największy specyjał żywili się ludzkiém mięsem. Widząc to Jasio, zawołał zdziwiony: Jaśnie Wielmożna Pani niedawno po połogu, sama trudnisz się kuchnią?!

— Cóż mam robić — odrzekła Jędza — zachorowała mi kucharka, i nie mam nikogo do pomocy.

— Jeżeli pani niewzgardzisz mémi usługi, chętnie się ofiaruję.

— Zgoda — odrzekła pani — ale czy aspan znasz się na téj sztuce?

— Zawołany jestem kucharz — mam świadectwa jako trzy lata służyłem w domu pana ministra, a drugie trzy u opata, którego kuchnia słynie na cały świat.

— Słyszałam, że ksiądz opat wybornie żyje, ztąd wnoszę, że i aspan musisz być niepośledni; chciéj mi przeto wskazać, jaki jest najlepszy sposób przyrządzić to dziecko na naszą ucztę? Czy go dać w potrawie, z truflami, czy tylko ugotować w wodzie z pieprzem i cebulą? —

— Jeżeli mój sposób się podoba, tedy radzę postąpić sobie następnie: oto trzeba je ugotować nakładłszy w serce różnych korzeni, niewyjmując z niego serca.

— Toby się dało zrobić — rzekła Jędza.

— Zapewne — ale potrzeba przebić mu serce w samym środku, i ani na włosek niechybić; inaczéj bowiem potrawa stanie się gorzką i niesmaczną. Na tém cała sztuka.

— A wacpan-że to potrafisz?

— Dla czego nie? tylko pozwól pani, a zaraz przekonam. Oto weź dziecię na ręce — dobrze! a teraz oprzyj się o ścianę. — Gdy się stało jak powiedział, zaraz dobył swego noża i przymierzając się w serce dziecięcia, z taką siłą wpakował mu nóż w serce, że i samą Jędzę przebił na wylot. Dopieroż to poznała jak z niéj zażartował, ale poznała po niewczasie.

Jasio niebawiąc się dłużéj koło trupów, pobiegł czemprędzéj i podciął pale, na których się opierał most zwodzony; a widząc zbliżającego się Jędzona ze swoją czeladzią, wylazł na wał, i krzyczał na całe gardło: Zamek zdobyty! Wiwat mój król i pan! —

Jędzon rozgniewany na taką zuchwałość, dał znak swojéj czeredzie, która skoczyła z kopyta, a wypadłszy hurmem, most się pod nimi zawalił, i wszyscy w głębokiéj fosie potonęli jak szczeniaki, że ani jeden żywy niewyszedł, Od téj katastrofy kraj pozbył się na zawsze przeklętego rodu Jędzonów.

Po dokonaniu tak znamienitego dzieła, zdawało się rzeczą niepodobną, aby król miał niedotrzymać słowa. Ale złéj wierze nigdy na wykrętach niezbywa, ani zawiści na złośliwych podszeptach. Dworacy szpiegując każdy krok Jasia, odkryli nakoniec tajemnicę trzech zwierzątek, za których pomocą z tylu trudnych przedsięwzięć wyszedł był zwycięzko. Zaraz tedy pomyśleli sobie, że dopóki posiada takowe, dopóty nic mu nieporadzą. W skutek tego, gdy Jasio mniemał, że wszystkie życzenia swego teścia zaspokoił, król przyszedł doń i rzekł: — Kochany mój Jasienku, mój ty rycerzu, złotko moje, nieweźmiesz mi za złe, jeżeli prosić cię będę, abyś na domiar tylu znakomitych dzieł, jeszcze mi jednę łaskę wyświadczył? Rzecz ta, wcale jest drobna, tak drobna, że prawie mi wstyd wspominać o niéj.

— Niech się wasza królewska mość niewstydzi, i śmiało życzynie swe otworzy.

— Fraszka mój synu, drobna fraszka, która niekosztować cię będzie ani pracy, ani mozołu, ani na

niebezpieczeństwo narazi. Zresztą, nieba wzywam na świadka, że niczego już od ciebie żądać niebędę, i że natychmiast oddam ci rękę méj córki z połową królestwa w posagu. Kontrakt ślubny gotowy, tylko podpisać.

— Mów wasza królewska mość, bardzo proszę.

— Wiadomo ci mój synie, że muzeum moje słynie z rzadkiego zbioru różnych owadów; a tylko mi trzech brakuje: chrząszcza, świerszcza i pająka. Jak wiem, masz te trzy egzemplarze w rzadkim gatunku; daj mi je; dopełnię kolekcyję moją; każę złotémi szpilkami poprzybijać, oprawić za szkło w złote ramy, i położyć napis: „Dar Jego X. Mości Księcia Jana." — Osądźże sam, że nic tak wielkiego nieżądam.

Król spodziewał się, że Jasio da mu zwykłą odpowiedź: postaramy się — ale srogiego doznał zawodu! Jasio stanął cały jakby w płomieniach, i dopiero, gdy cokolwiek ochłonął, przemówił: „Najjaśniejszy panie, widzę dobrze, zkąd wiatr wieje, kto cię na mnie podszczuwa; jeżeli zatém chcesz zostać na starość głupcem, ja sobie wcale nieżyczę zostać niewdzięcznym. Schowaj sobie i córkę i królestwo; obejdę się bez jednego i drugiego. Co się zaś tycze moich robaczków, nietylko ich mieć niebędziesz, lecz bojąc się, aby mi ich przemocą niewydarto, natychmiast daję im wolność." —

Jasio wyciąwszy taką ognistą mowę, chciał wyjść z pokoju, gdy w tém podwoje się otwarły, i weszły trzy panny cudownéj urody i w bogatym stroju. Wszystkie trzy zbliżyły się do stopni tronu i jedna w ten sposób zabrała głos: „zostań Jasiu. Czysta chęć twoja wystarcza, aby się spełniło dzieło, jakie chcesz wykonać. Jesteśmy trzy siostry Bogińki, które władza starszéj bogini zamieniła w postać trzech owadów. Skazane byłyśmy dopóty zostawać w tym stanie, dopókiby jakiś wspaniały człowiek nieprzeniósł naszego dobra nad swoje własne, i niechciał się dla nas poświęcić. Dobre twe serce Jasiu, zniszczyło czary i uwolniło nas z tego więzienia. A teraz wybierz sobie jednę z nas trzech na żonę, drugie dwie na wieki zostaną twémi przyjaciółkami.

Jasio zmięszany i zachwycony razem, odpowiedział: piękne panny, za wiele dla mnie zaszczytu, więcéj nawet niż zasłużyłem sobie; lecz jeśli taka wola wasza wdzięcznie przyjmuję tę ofiarę; tylko w tém trudność zachodzi, że jak jesteście wszystkie równéj piękności, wybór musi nastąpić z innego powodu. A zatém tę wybieram, która najwięcéj była mi w przygodach moich pomocną. Na to jedna z panien uśmiechnęła się i rzekła:

— Ja byłam chrząszczem.

— A ja świerszczem.

— A ja pająkiem.

Jasio z bijącém sercem posunął się i wziął za rękę..... Czytelnicy moi, zgadnijcie ktorą?

Lucian Sie.

Stanisław Jaxa.

Szlachecka gadka.

Rodzinna ziemio — ty nasza kołysko i grobie! jakżeś mi śliczna — anielska — kiedy stęsknionêm okiem powionę sobie po twoich połankach, — a potém zmrużę powiekę, — a potém skrzydłem myśli uderzę w czarodziejską strunę, skrytą pod chłodną stubarwną sukienką twą! — I struna zagrzmi dziwném — huczném pieniem, — z każdéj trawki, z każdego ziarnka piasku, jak na archanielską trąbę zaczną wywijać się — kleić olbrzymie męże zgasłych dni, — więc nieskończonym pstrym korowodem jak chmury, jak tęcze, jak orkany wirować, szumieć, pląsać, kłębić się pod okiem — przed myślą; — stare zbutwiałe dzieje odplątać z grobowéj pleśni, szaleć — bić — hulać — grozić — zwyczajnie jak po staremu, jak to ongi u nas bywało. — Hej to i mnie w rozumie tak się wtedy dziwno radośnie skręci, i myśl zaszaleje, i w sercu tak lubo, potężno — roskosznie, choć i smutno, smutno nieraz! że zapomnę całego świata, żebym się z aniołami niemieniał na niebieskie królestwo! — I po co tu — po co szukać piękniejszych nadsekwańskich wybrzeży? — po co czulszych pamiątek z Neapolu kwietniego pomorza? Ot patrzcie! i tu wśród ojcowskiéj prześlicznéj doliny — uobręczona skał wiankiem, siedzi sobie nad mogilnikiem gruzów — blada — naga wieżyca; jak spłowiały szkielet trupa nad cmentarzem, jak matka sierota wśród dziecinnych grobów. Wieża ta, nie dla jednego zimny kamień tylko, a ja gdy zamarzę, popragnę, kiedy sercem raz choć zagadam do niéj — raz tylko przytulę do żarnéj duszy te martwe — kochane gruzy, — to one taką śliczną i bolesną i ucieszoną i dzielną na społy uchuśtają mnie pieśnią — pieśnią innych czasów, — o jakiéj sni się ledwo na tym świecie!

Posłuchajcie choć w mdłém echu jednéj zwrotki jéj!...

I.

Tam za borem, za skałami, tuż tuż pod bokiem mojego brata na Korzkwi, (śpiewała wieżyca) jak dwa płoty gór osute jodłową czernią rozbiegły się szeroko, — nie dziś — nie wczoraj, innémi czasy, stał sobie dwór szczuplutki, malutki, bielutki, jak to zwyczajnie drobnego szlachcica, jak to w naszéj Polsce, gniazda poczciwości i cnoty bywały. Prątnik stary burczymucha, obskoczył go z trzech stron srebrną falką, i jak mruczy tak mruczy — on sam z sadu gęstwiny, wygląda szklannémi szyby i białym kominem, i siwą kitą dymu nad nim, jak uśpione sielskie dziewcze z kupy siana. Kilka morgów ornéj ziemi na górze za lasem, dwieście kroków łąki na odolu, — o to wszystka dziedzina pana Stanisława Jaxy, chorążyca Liwskiego. Czapką ją nakryjesz, jak prawią, ale swoja — ale wyżywi. — Bogu chwała i za to. Podupadły wnuk rodu, co trząsał Polską innych czasów, niegdy bywało, dworzanin — towarzysz pancernéj chorągwi, rębacz zawołany na pół korony i Litwy, — dziś — na stare lata, kiedy prawica nierada już kordem straszyć, strzaskana nawałą bied, głowa, nie udźwignie żelaznéj misiurki, osiadł sobie na krwawo uciułanéj kruszynce ziemi, daléjże tak w spokoju, z różańcem, z pracą, i z swoją jedyną Franusią, dobiegać téj ziemskiéj wędrówki i Panu Bogu na chwałę, ludziom na pożytek.

Anoć dziś, choć to ni świątek, ni piątek, oj coś inaczéj, inaczéj jak po zwyczaju w cichém szlacheckiém domostwie. Zielone podwórki jak nabite konnymi, — a wszyscy strojno od złota i dyfdyków, a gwarno, szabelno, huczno i buńczuczno, — łażą, gawronią tu i owdzie, jak na odpuście — jak na sejmiku. To dworscy pana Bernarda Opoleckiego starosty ojcowskiego, to w gościnę do szlachcica przywalił jasny pan. W nadobnéj bielonéj komnatce, na prawo ze sieni, więc sobie radzi obadwa. — Izba to nie szeroka, nie pyszna, — ale widna — schludniutka. Wedle drzwi mała cynowa kropielniczka z święconą wodą, nad nią krzyżyk, w okrąg kółka z świętokróleskiéj kredy; — na przeciwnéj ścianie drobny ołtarzyk Matki dziewicy, pod ołtarzykiem lampa, wedle ołtarzyka stary kord, ale wedle korda wianuszek z świeżych ogrodowych kwieci, jeszcze oddycha wonią różanéj rączki co go uplotła, ale w okienku bielsze od śniegu firaneczki, jeszcze wiewają jéj tchnieniem. Ej — dziewcze tu jest jakieś, tak zagadało sobie przeczucie — i zgadło.

Dwóch mężów rozgościło się suto, na krytych spłowiałym adamaszkiem, staroświeckich krzesłach, ostatnim zabytku Jaxów potęgi. Więc siedzą szeroko, i szeroce prawią poważne rzeczy, znać im to z miny i z oka. A był jeden z nich starszy, w chędogiéj suknianéj kapocie, w jedwabistym pasie, w węgierskich butach. Nad spłowiałą wargą, puszy się szumny siwy wąs, — biała broda jak mleko, spływa w kędziorach na piersi, istno gałązki płaczącéj brzeziny. Z mnogich kres na obliczu znać nie zalegał za młodych lat pola — znać nie strachał się bywało, pocałunków szablicy. Stary jak świat — anoć w oku suto jeszcze dusza jaśnieje, po szerokiém czole hardo jeszcze pląsa sobie orla dumka, owa dumka, co przez ośm wieków wygrywała cuda i nie cuda, przez życie naszych dziadów. To sam pan Jaxa gospodarz; a co to za ród ten Jaxów? — popytaj starych dziejów. Drugi młodszy, choć mąż w pełni rozkwitu, wyglądał przy starcu, jak puchacz wedle sokoła. To pan starosta ojcowski, a mina u niego rzadka — cierpka — i oblicze, nie jak dniowe światło; — więc złocistą karabelą pobrzękuje sobie z ostra, niecierpliwie po ziemi, pyszna dusza skacze mu niespokojnie stargano — jak bąk, po ustach, po oku, po czole. Znać zaduman i zasępiony, znać nie na rękę mu coś idzie sprawa.

„No panie Stanisławie,“ — aż zagwarzył kwaśno, powstając — „hej namyślcie no się, ażali łaska poczciwie Mopanku, a nie częstujcie przed czasem grochowym wieńcem, by zaprawdę innéj godziny, i mnie i wam kością w gardle nie stanął. Toć z końca mnie się widzi,“ dobijał, muszcząc suto wąsa, z pysznem trochę — trochę drwiącém pojrzeniem, — „toć mnie się widzi Mopanku, że przecież i ojcowski starosta nie koszlawy do waszéj dziewki, kiedy doń zstąpić się pokwapił.“ „Ale mnie się widzi Mosdziejku“ że choć biednemu Jaxie, to koślawo na stare lata dla jednego pana starosty kłamać szlacheckiemu słowu. Łaska wasza nie pomiotłem dla mnie była, anoć co raz rzekłem to chyba jeden Pan Bóg odwróci. — Moja dziewka po zrękowinach, to wiecie; — da Bóg, Szwed weźmie w łeb, i wróci podstolic z królem jegomością, i weźmie sobie jak swoją. Z końca, toć i biedne dziewczynisko rozmiłowane w nim, jak Panie Niebieski odpuść — poganka, — pożal się Boże jéj urody u was, bo i tak wszystkie dnie i nocki o nim jedno plecie. Niech się dzieje wola nieba; nie moja wina, — ale jéj nierozwiążę, bo nie rozwiążę Mośdziejku, jakom szlachcic! nietylko

dla was, ale dla samego króla jegomości!" — Tak dobił gracko; — a starosta schmurzył się tylko jak marcowy dzień, śmignął ku szlachicowi ostro, przeraźliwie źrenicą, i przeraźliwie zaśmiał się, jak puszczyk o północnéj dobie.

„Ha! obaczym! obaczym Mopanku!" — odciął, chciał jeszcze ciąć coś na kwaśniéj, na suciéj, w tém myśl jakaś dziwna — nagła prześmignęła mu po duszy, więc tupnął tylko srebrną podkówką. Zobaczym! powtórzył raz jeszcze cierpko, — ni się skłonił, ani pożegnał po ludzku, tylko wyskoczył z izby jak wiatr, — i jak wiatr świsnął na bułanka, — i jak wiatr poczesał krasném odolem, krętą drużyną na swój wysoki dwór, na ojcowski zamek. — Więc czesze między zielone brzozy i tarniny z chmurą na licu, z pychą na czole, z iskrami w oczach, — z czém w sercu? — Bóg jeden chyba wie. Za nim długim sznurkiem cała pstra czereda, — a ramionami rusza, a po kątach chichoce, — oj! boć to nie słodki, ale śmieszny harbecz na tym biednym świecie.

A w białym dworze, jeszcze drzwi za rozsierdzionym panem nie przymknęły się na dobre, kiedy drugiémi, istno jaskółka wefurnęło dziewcze w bieli, z niebieskiém figlarném oczkiem, śliczniuchne — świeżuchne — pieszczotliwe, jak lilii kwiatek, co w zwierciadlanéj Prątnika falce kąpie śnieżne czoło. Więc jak skoczyła, istno młoda sarneczka, tak i w lot już tuli się jak przylipka do ojcowskiéj piersi, — już buziakiem, oczkiem, rączką shlebia, pieści się — jak dziecina, jak wiewiórka z orzeszkiem.

„Dziękuję, dziękuję wam ojcze," trzepotała więc a hyżo jak na wiatraku, — „dziękuję za wasze dobre serce. Bo ja niecierpię tego pana Starosty! — Mnie się wydaje, kiedy pojrzy na mnie, że mnie zje strasznémi wąsami, niepoczciwiec. Miły Boże, toć przecie piękniejszy mój Wacuś jak ten z wilczémi oczami. Aleć nadobnie mu też do twarzy było w grochowym wianku! ha! ha! ha! pan starosta w grochowym wianku! Będzież się śmiał pan podstolic jak wróci da Bóg z wojenki! — ha! ha! ha!" —

I trzpiotliwe, wesołe, nuż skakać jak wróblik na nici, nuż grać kwaśne miny Opoleckiego, — nuż klepotać w białe rączki, zwyczajnie jak dziewcze, jak to bywa w ośmnastéj wiośnie życia.

„No! no! niezbożno wartogłówko," ustatkujże mi się przecie kiedy, Mośdziejku — prawił niby poważnie Chorążyc, choć przez powagi strój, dziwnie, śmieszno przeglądało wesele. „Ustatkuj, nie wydrzeźniaj, bo to pan wielki — mocny — a my"......

i uciął nagle, i nagle na rozjaśnionėm czole siadła szeroko ciężka jakaś chmura; uciecha zagasła w źrenicy, smutna, zadumana wyjrzała z oblicza.

„Ojcze co tobie?" zakwiliło rozstrojnie dziewcze przybiegając doń ze drzeniem.

„Nic to — nic dziewko moja, ot tak też sobie Mospanie coś przyskoczyło do myśli, i poszło z Panem Bogiem w świat. Niebój się dziewko, anoć pomnij, we wszystkiém życiu, że szlachecka to krew co w twoich żyłach płynie, a szlachcica polskiego król jegomość, to starszy pan brat jedno. Więc namniéj strzedz twojéj godności i cnoty, boś biedna, a oto wszystko twoje wiano. A z niémi niedrzyj, ani przed starostą, ani przed nikim! za nie nawet umiéj umrzeć ażali trzeba."

A dziewcze przywalone złowrogiemi słowy, milczało smutno. Więc stary znów pocałował ją pieszczotliwie w czoło: „tak, tak moja bogdanko, prawił, teraz bądź mi jedno dobréj myśli. Ja dziś jeszcze muszę ruszać do Skały, dobić o tegoroczne sianko z panami sąsiady. Tymczasem przed wystawę zaturkotała dryndulka. „To Wojtek już! gracki chłop, zwinął mi się tęgo" zagadał. „Komu w drogę to i czas — bądź mi więc zdrowa moja dziewko, jutro rankiem da Bóg, to cię znów uścisnę. — Więc nuż krzątać się co tchu — nuż przypasywać słucki pas, stalny kord drucha od serca. A potém raz jeszcze uściskał swoją Franusię — raz jeszcze polecił się Panu Bogu, przeżegnał siebie na drogę, i domów kąty, siadł i podryndali het ku Ojcowu, ku Skale — po kamienistéj drożynie. Dziewcze jeszcze z przededrzwi żegnało ich chwilę z daleka, aż i zgaśli za skałami i drzewiną w zielonėm udolu, i ona poskoczyła, zgasła gdzieś w ogródku między kwieciem.

(Dokończenie nastąpi.)

Śmierć Pawła I.

Ułamek z historyi konsulatu i cesarstwa, Thiersa.

(Kwiecień 1801.) — W Petersburgu zamordowano Pawła I. w nocy z 23. na 24. Marca. Wypadek ten zakończył związek morski północnych mocarstw daleko przeważniéj, aniżeli niezupełne zwycięztwo Nelsona. Paweł I. skojarzył ten związek z całą namiętnością, z jaką zwykł wszystko dokonywać i niezawodnie do-

łożyłby największego starania, aby szkoda pochodząca z bitwy pod Kopenhagą wynagrodzoną została. Byłby zapewne wysłał wojska lądowe do Danii, wszystkie okręty neutralne do Sundu i drogoby musieli Anglicy okupić okrutną swą napaść na stolicę Danii. Lecz nie stało cierpliwości poddanym i dla tego padł ofiarą pałacowéj rewolucyi.

Paweł I. posiadał zdatność i nie był złym z gruntu, ale miał skłonność do ostateczności we wszystkich uczuciach, a jako wszystkie tego rodzaju charaktery, był zdolny do złych i dobrych czynów, według usposobienia słabego lub gwałtownego ducha. Jeżeli usposobienie tego rodzaju niebezpieczném jest u ludzi zwyczajnych, tém staje się gorszém u panujących i do tego bez ograniczenia. Kończy się w nich szaleństwem i to szaleństwem krwi chciwéj. Świat cały petersburgski drzeć począł, nawet najulubieńsi dworzanie Pawła nie byli pewni, czyli świadczona im łaska nie zamieni się w wygnanie do Syberyi.

Czuły i rycerski Car podzielał z początku sympatye dla ofiar francuzkiéj rewolucyi i nieprzełamaną nienawiść saméj rewolucyi. Jakoż przy wstąpieniu na tron wysłał Suwarowa w 100,000 Rossyan do Włoch, gdy tymczasem podstępna Katarzyna podniecała Europę przeciw Francyi, niewysyłając ani jednego żołnierza swego. W gorączce swego uniesienia zakazał wszystko pochodzące z Francyi: książki, mody i ubiory. To zniechęciło arystokracyę rossyjską, która, jak cała europejska arystokracya, przy całéj przyjemności oczerniania Francyi, lubi ducha, obyczaje i zdelikatniałą cywilizacyą Francyi. Nieznośnym przeto uważała ten zapał aż do ostateczności kontrrewolucyjnéj doprowadzony.

Wkrótce potém ujrzano Pawła podzielającego przeciwne uczucia, wstręt mającego do swoich sprzymierzeńców, skłonność do dawniejszych nieprzyjaciół, zdobił swe komnaty obrazami generała Bonaparte i publicznie wypijał zdrowie jego. Nawet przeciwieństwo daléj doprowadził i wypowiedział wojnę Anglii. Teraz nietylko się stał dla arystokracyi rossyjskiéj niewygodnym, ale nawet w najwyższym stopniu znienawidzonym, bo ugodził nie w sam smak, ale jeszcze w ich interessa.

Niezmierna rozległość północnego lądu stałego Europy, obfitująca w zboża, drzewo i konopie, w minerały, potrzebuje bogatych zagranicznych kupców, którzy uganiają się za ich naturalnemi płodami, a natomiast dają pieniądze i wyroby rękodzielnicze. Anglicy trudnią się zaopatrywaniem Rossyi za płody surowe, płodami przemysłu swego i tym sposobem ułatwiają spłatę czynszów dziedzicom rossyjskim. Handel angielski panuje w Petersburgu i to jest związek, który łączy politykę rossyjską z polityką angielską i wstrzymuje wybuch współzawodnictwa między dzierzycielami wielkimi Azyi, który jednak prędzéj czy późniéj zerwanym zostanie.

Szlachta rossyjska rozjątrzyła się nową polityką Pawła. Jeżeli dawniéj zbytnią ganiła zaciekłość swego Cara przeciw Francyi, to teraz potępiła za daleko posunione uwielbianie nieprzyjaciela, ile, że uwielbianie to prowadziło do środków, które były zgubnemi dla wielkich dóbr posiedzicieli. Do téj obrazy smaku i interesów dodał Paweł jeszcze okrucieństwo, które nie było wrodzoném jego sercu, skłonniejszemu raczéj do dobrego, aniżeli do złego. Wysłał był wielu nieszczęśliwych do Syberyi. Poruszony ich cierpieniami, dozwolił im powrócić do ojczyzny, lecz zabranych dóbr im niepowrócił. Ci nieszczęśliwi zapełniali Petersburg swemi skargami i nędzą. Obrażony ich widokiem, wszystkich wygnał napowrót. W miarę, im więcéj czuł nienawiść swoich poddanych, tém bardziéj był podejrzliwy i zagrażał wszystkim głowom. Układał plany to na swoich ministrów, to na swoją żonę i dzieci, a wreszcie przybrał wszystkie znamiona tyrana. Kazał pałac Michała okopać szańcami, rowami i bastionami wzmocnić, w nim zamieszkał i był przygotowany na nieprzewidzianą napaść. W czasie nocy sam zatarasowywał swe drzwi prowadzące do komnat cesarzowéj i przygotował tym sposobem swój koniec tragiczny, nieprzeczuwając go z innéj strony.

Stan taki długo trwać nie mógł i musiał się skończyć, tak jak nieraz się skończył w owém państwie, które acz nagle postąpiło ku cywilizacyi, lecz wzięło początek z barbarzyństwa. Myśl zajęła wszystkich głowy, aby się pozbyć nieszczęśliwego Pawła na drodze zwyczajnéj, to jest, tam gdzie pałac jest narodem, — pałacową rewolucyą. Tu jest sposobność do podziwiania skutków instytucyi. Na drugim końcu Europy, na jednym z najpierwszych tronów świata, zasiadał monarcha obłąkany, wprzód upartego charakteru, ale poczciwy, Jerzy III. Książę ten pozbawiony zdrowego rozumu przez kilka miesięcy, właśnie był bez przytomności w najważniejszéj chwili dla Anglii. A jednak wszystkie sprawy odbywały się w najporządniejszy sposób. Konstytucya ustanowiła przybocznych ministrów, którzy za niego rządzili i tak ociemnienie królewskiego rozumu niemiało żadnego wpływu na sprawy państwa.

Wówczas na dworze petersburskim znajdował się jeden z tych groźnych ludzi, którzy nie zadrżą przed wykonaniem rzeczy ostatecznych, pod rządną admi-

nistracyą możeby wielkimi zostali obywatelami, lecz pod rządem despotycznym stają się ohydnymi zbrodniarzami, jeżeli zbrodnia tam chociaż nie pochwaloną, lecz zwyczajną jest bronią rządu despotycznego. W każdym kraju trzeba nienawidzieć zbrodnie, lecz przedewszystkiém instytucyami pogardzać, które wywołują zbrodnie.

Hrabia Pahlen służył w armii rossyjskiéj z odznaczeniem się. Jego postawa była imponującą, ukrywał pod twardemi, a nieraz rozpasanemi formami żołnierza, głębokiego i ukształconego ducha. Nadto uposażony był od natury rzadką śmiałością i niewzruszoną przytomnością umysłu. Jako gubernator Petersburga, mając policyą państwa pod sobą, wtajemniczony przez Pawła we wszystkie sprawy polityczne, był w rzeczy saméj najważniejszą osobą rządu rossyjskiego. Jego zdanie o polityce kraju było niezachwiane. Krzyżowa wojna naprzeciw rewolucyi francuzkiéj, równie zdawała się jemu bezrozumną, jak niewczesnym wybryk przeciw Anglii. Roztropne wycofanie się, zręczna neutralność zachowana wśród niszczącéj walki Francyi z Anglią, zdawała się jemu zbawienną dla Rossyi polityką. Jako polityk nie był on ani Francuzem, ani Anglikiem, lecz był Rossyaninem obyczajami z czasów Piotra wielkiego. Przekonany, że wszystko upadnie, jeżeli nie zostanie skróconém panowanie Pawła, a nawet obawiając się o własną osobę od czasu, jak cesarzowi kilka słów wymknęło się niezadowolenia, postanowił dokonać planu i porozumiał się z hrabią Paninem, wicekanclerzem państwa i ministrem spraw zewnętrznych. Obaj dzielili to przekonanie, że należy położyć koniec panowaniu, które zagraża bezpieczeństwu państwa i pojedyńczym osobom. Hrabia Pahlen wziął na siebie wykonanie postanowienia, które wspólnie ułożyli. *)

Następcą tronu był wielki książę Aleksander, którego panowanie doszło do naszych czasów, młody, pełen zdatności i łatwy do kierowania, czém później nie był. Hrabia Pahlen postanowił jego wynieść szybko na tron, bez żadnych wstrząśnień w kraju. Rzeczą było konieczną porozumieć się z wielkim księciem, następcą tronu, aby nazajutrz po wypadku nie zostać ukaranym jako powszedni morderca, któregoby poświęcono, korzystając z owocu jego pracy.

Trudno było udzielić wiadomości temu księciu, który posiadał dobre przymioty i niezdolen był zbrodni przeciw życiu swojego ojca. Hrabia Pahlen prowadził rozmowy z wielkim księciem, bez uchylenia jemu tajemnicy właściwéj, o sprawach państwa i o niebezpiecznych krajowi wybrykach Pawła; potém ucinał rozmowę, bez wywodu dalszych następstw. Aleksander słysząc te słowa spuścił oczy z boleścią i milczał. Te głuche, lecz pełne wyrazu sceny powtarzały się kilka razy. Postanowiono się więc jaśniéj oświadczyć. Hrabia Pahlen starał się daléj przekonać młodego księcia, że stan rzeczy taki dłużéj trwać nie może bez niebezpieczeństwa dla kraju, a wystrzegając się pozoru zbrodni, któréj nie odważono się Aleksandrowi odsłonić, oświadczył, iż wypada Pawła zsadzić z tronu, zabezpieczyć mu spokojne życie, ale wytrącić mu z rąk ster rządów kraju, któren niepochybnie do upadku przywodził.

Aleksander zalewał się łzami, protestował przeciw wszelkiéj myśli wydarcia ojcu panowania, nakoniec uległ nowym dowodom niebezpieczeństwa, w które Paweł mógł zawikłać kraj i cesarską rodzinę. Paweł w rzeczy saméj oświadczył, iż każe ruszyć 80,000 wojsku przeciw Berlinowi, gdyż niecierpliwił się powolnością Pruss w sprawie neutralnéj. Nadto żądał w zaciekłości swojego zarozumienia, aby pierwszy konsul we wszystkich go sprawach wybierał za sędziego polubownego i aby ta nowa potęga z Niemcami, Piemontem, Rzymem, Neapolem i z Portą ottomańską zawierała tylko pokój na zasadach wytkniętych przez Rossyą, tak dalece, iż obawiano się zerwania dobrego porozumienia się z Francyą, któréj polityki z taką gorącością się chwycił. Do tych powodów dodał jeszcze Paweł inne niepokojące wiadomości ze względu na bezpieczeństwo cesarskiéj rodziny, przeciw któréj począł mieć Paweł podejrzenie.

Aleksander poddał się nakoniec, żądając przysięgi od hrabiego Pahlena, że na życie Pawła żaden zamach wymierzonym nie zostanie. Hrabia Pahlen przysiągł na wszystko, czego żądał syn niedoświadczony, który sądził, iż cesarzowi można wytrącić berło bez pozbawienia go życia.

Teraz szło o wynalezienie ludzi zdolnych do wykonania zamachu, gdyż hrabia Pahlen przy ułożeniu planu uważał za rzecz niegodną, aby własną go ręką wykonał. Zachowując wybór osób, które zasłużą na zaufanie jego i wykonają role im późniéj lub wcześniéj rozdane, wybrał w myśli rodzinę Zubów, wyniesioną łaską Katarzyny, do wykonania samego zamachu.

(Dokończenie nastąpi.)

---

*) Szczegóły te wyjęte są z pamiętników generała Langerona, który jako emigrant francuzki przepędził życie swoje w usługach Rossyi.

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — „Roku 1846." wyszedł poszyt III. i zawiera: 1) Nędza i przestępstwo, a głównie w Anglii; 2) Teraźniejsze i przyszłe stanowisko ekonomii politycznéj; 3) Sławianie sąsiedni Niemcom i ich czasopisarstwo; 4) Listy polityczne ze Szwajcaryi; 5) Lachy, Lechici, Lechija; 6) Kronika bibliograficzna; 7) Rozmaitości.

Anglicy ganią wszystko u Amerykanów, tak Rubio w swéj podróży po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie taki daje opis budowy ciała tamecznych mężczyzn i kobiet: mężczyzni niemają rozłożystych barków, są dłudzy, nakształt żerdzi jak straszydła na ptaki, a pod karkiem tak płascy jak kobiety. Kobiety w Nowym Jorku były sławione od lat pięćdziesięciu ze swojéj piękności, posądzą mnie przeto o kacerstwo że inne w tém objawię zdanie. W Londynie widziałem w przeciągu jednego dnia daleko więcéj pięknych kobiet, aniżeli w całych moich podróżach po Stanach Zjednoczonych połnocnéj Ameryki. Zbywa im na wszystkich przymiotach, które odznaczają piękność kobiecą, tak są gładkie i płaskie jak szkaradne ich brzegi morskie. Daléj powiada: czystéj białości i rumieńca naprożnobyś szukał w kraju amerykańskim. Lilie i róże nie kwitną na licach amerykańskich, mężczyzni są żółci i bladzi, a kobiety jak łój wyglądają (tallow). Ten opis wcale nas nie przynęca, lecz inni podróżni, a nawet Anglicy sprawiedliwszy dają nam obraz w téj mierze, a nawet przyznają, że i tam wiele piękności widzieli, lecz piękność u kobiet amerykańskich nie jest trwała, między piętnastym a dwudziestym piątym rokiem przemija cały u nich urok piękności.

MODY.

Paryż, dnia 9. Kwietnia 1846.

Najmodniejsze tkaniny wiosenne na ranne szlafroczki są kratkowane fulardy na tle niebieskiém, brunatném lub zieloném, w owalne lub trójkątowe albo też wężykowate linie. Potém idą lśniące kitajki we wzory mianowicie z szerokiemi pasami kitajkowemi, po których maleńkie atłasowe znajdują się prążki w jaśniejszych cokolwiek kolorach, w środku zaś przechodzi śliczna girlanda z róż z liściem.

Pomiędzy nowościami widzieliśmy niebieskie i zielone kitajki w szerokie pasy, rozdzielone szerokiemi paskami atłasowemi w białym kolorze, przy których znajdują się prążki lazurowego lub szarego koloru. Paski te czasem zakreślają zygzaki.

Dla młodych panienek najpiękniejsze są kitajki różowe lub niebieskie w białe lub pstre paski.

Mało noszą muślinów wełnianych, ich miejsce zastąpiły poil de chèvre i gazy wełniane. Równie nowa tkanina się ukazała i ma zastąpić nankin, to jest lśniąca kitajka wełniana i kitajka lniana.

Co się tyczy kształtu sukien, najlepiéj będzie, skoro niektóre z nich opiszemy:

Na sukni z francuzkiéj niebieskiéj kitajki w paski białe atłasowe znajdował się garnirunek pięcioraki z wstążek, z przodu umieszczony jak dawniéj paski aksamitne, ku przepasce coraz węższy. Na końcu wstążki każdéj znajdowała się biała pasamonowa robota. Stanik był zupełnie gładki i ze sznepką, z każdéj strony wyłoga także niebieską wstążką oszyta. Rękawy zupełnie przytém wązkie, a pod ramieniem w podkowę otwarte, à la Louis XV. Otwór także ogarnirowany wstążką, a w nim biały podrękawek.

Na sukni z różowéj kitajki widzieliśmy trzy szerokie falbany w duże zęby. Trzecia z tych falban umieszczona u przepaski, zakrywała początek powłoki zupełnie, co jest całkiem rzeczą nową. Stanik był gładki i ułożony jak rękawy.

Widzieliśmy suknię z gazy wełnianéj w cienie prążkowane niebieskie i brunatne, oszytą czterema falbanami zębiastemi, które znów suto osadzone były w pasamony. Stanik fałdzisty był wycięty, z przepaską wązką.

Zdaje się przeto w téj chwili, że staniki pozostaną gładkie i otwarte, z wyłogami lub w prost jak kamizelki mezkie. Czasem będą staniki na ramionach we fałdy ściągane i łączyć się będą u wązkiéj przepaski w kształt snopka. Równie nosić będą krótkie rękawy, z powodu upodobania w haftach i białych tarlatanowych rękawach.

Objaśnienie ryciny.

1. Surdut sukienny, kaszemierowa kamizelka, pantalony w paski.
2. Kapelusz aksamitny zdobny piórem. Jedwabny ubiór.
3. Ubiór jedwabny.

Redaktor *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*